

ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.



### Iwona Cebulla

Komórka Iwony Cebulli dzwoniła przez całą noc, bo rodzina nie traciła nadziei. W jej śmierć bliscy uwierzyli dopiero, gdy o piątej rano w niedzielę ratownicy znaleźli jej ciało. Iwona Cebulla z Opola miała 36 lat. Była tłumaczem języka niemieckiego. Zanim założyła własne biuro tłumaczeń, uczyła niemieckiego w szkołach. Większość opolan zna ją z regionalnej telewizji i radia, gdzie współtworzyła programy dla mniejszości niemieckiej. Hodowlą gołębi zajmował się od zawsze jej teść. Ale dopiero mąż Jacek przekuł jego pasję w rodzinny interes. Założył z ojcem firmę, która sprzedawała karmę, klatki itp. Iwona pojechała do Katowic z mężem, teściem, szwagrem, dwójką dzieci – 10-letnim synem i 15-letnią córką – oraz współpracownikami. Na wystawie była tłumaczem belgijskiej firmy, która prezentowała swoje produkty. W chwili tragedii była na środku hali, żegnała się z klientami. Jej bliscy w tym czasie likwidowali stoisko rodzinnej firmy pod ścianą i zdołali uciec.

ARCHIWUM RODZINY



### Kazimierz Radtke

Kazimierz Radtke z Żelistrzewa koło Gdyni od lat organizował „zabawy gołębiarskie” w miejscowym domu kultury. Przychodziło nawet 120 osób – potańcówka, konkursy, pieczone gołąbki. Radtke, 57-letni rodowity Kaszuba, właściciel warsztatu samochodowego, zostawił żonę i trójkę dorosłych dzieci: syna i dwie córki. Wiele lat był radnym sołectkim, działał w Ochotniczej Straży Pożarnej, należał do Cechu Rzemiosł Różnych w Pucku. W liczącym 2,2 tys. mieszkańców Żelistrzewie żałoba trwa od niedzieli po południu. – Do Katowic pojechaliśmy pociągiem we cztery – opowiada Tomasz Piątek, przyjaciel Kazimierza Radtke. – Prócz nas Marian Abraham i Brunon Elenndt. Siedzieliśmy przy jednym stoliku, gdy to się zaczęło. Rzuciliśmy się do wyjścia. Mnie zalała fala zimnej wody, która była na dachu. Spod blach i stalowych belek wychodziłem na czworaka. Kazik jako jedyny z nas nie zdołał uciec. Miał przy sobie obrączki z elektronicznymi chipami dla hodowców gołębi z Pucka. Gołębnik stoi za warsztatem. Stado, które zostało po panu Kazimierzu, liczy 150 ptaków. Najbliższą zabawę w domu kultury planował na 4 lutego. – Pewnie jej nie będzie – mówi Józef Jaszke, sołtyś Żelistrzewa. – Kto miałby po tym wszystkim chęć na tańce? **ROD**

# DOSTAŁEM DRUGIE ŻYCIE

**Marek Wosiek, weterynarz z Krotoszyna, ma złamane cztery kręgi lędźwiowe, leży w Siemianowicach Śląskich.**  
Szpitalną bibliotekarkę poprosił o książkę sensacyjną. – Jeszcze panu wrażeń brakuje? – zdziwiła się bibliotekarka

Judyta Watola

KATOWICE

Kilkunastu lżej rannych w katastrofie hali wystawowej Międzynarodowych Targów Katowickich opuściło wczoraj szpitale. Zostały w nich 82 osoby. Grzegorz Jabłoński z Olsztyna leży w Siemianowicach Śląskich. Ma amputowany palec lewej ręki i złamany nos. Wita nas serdecznym uśmiechem. – Jak hala się waliła, byłem pewny, że to koniec. Ale nic się nie stało. Tylko palec zwiślał mi z dłoni. Czulem, że resztę ciała mam. Otrzymałem drugie życie. Tylko to się liczy – mówi.

Jego dwaj sąsiedzi w sali to też ofiary katastrofy. 31-letni Marek Wosiek poprosił o książkę sensacyjną. – Potrzebuję wrażeń innego rodzaju – wyjaśnił. Leży z unieruchomionym tułowiem, na szczęście rusza rękami i nogami. Do Brunona Elenndta, emeryta z Pucka (zmiążdżona noga), nikt z rodziny nie przyjedzie. Nie mają pieniędzy na podróż, ale pan Brunon jest uśmiechnięty. Dziwi się, że przeżył: – Tacy młodzi poszli do nieba, a ja zostałem. – Opiekują się nami świetnie. Żartujemy, rozmawiamy z psychologiem. Czego jeszcze chcieć? – pyta Grzegorz Jabłoński. Ale wie, że nie z wszystkimi jest tak dobrze. Choćby z jego kolegą z Olsztyna. Jabłoński bez przerwy rozmawia z nim przez komórkę. – Kolega leży

w którymś ze szpitali, nawet nie potrafi powiedzieć, w którym. Ciągłe jest w szoku – mówi. – Ci ludzie są wykończeni psychicznie. Nie chcą już rozmawiać o tragedii, nie życzą sobie wizyt dziennikarzy. Dwie osoby przeszły operacje nóg, dwie mają urazy kręgosłupa, ale bez porażek. Reszta ma lżejsze rany. Stan wszystkich jest stabilny. Z psychiką jest jednak tak źle, że większość musi jeszcze zostać w szpitalu – mówi dr Andrzej Pióro, wicedyrektor szpitala św. Barbary w Sosnowcu, skąd wczoraj wypisano tylko dwie osoby poszkodowane w tragedii. Ze Szpitala Miejskiego w Chorzowie wyszło pięć osób. Pozostało osiem, wśród nich tacy, którzy nie chcą nawet

rozmawiać z psychologami. – Trudno się dziwić. Wiele ludzi miało wstrząśnienie mózgu. Nawet w kilku słowach nie umieli opowiedzieć o tym, co się stało – mówi dr Jolanta Wadas, ordynatorka neurologii. Dr Wadas woli opowiadać o tych, którzy szczęśliwie opuścili już szpital. – Mieliśmy pana Jana z Kujaw. Był ciężko ranny, ale jego to nie obchodziło, bo w hali zostawił wnuczka. Kiedy już wszystkich opatryliśmy, zaczęliśmy z pielęgniarkami szukać tego wnuczka przez telefon. Znalazliśmy go w szpitalu dziecięcym w Chorzowie. Rozplakaliśmy się ze szczęścia. On też płakał. Wczoraj przyjechała rodzina, która dziadka i wnuczka zabrała do domu.

W chorzowskim szpitalu z ranami na głowie i klatce piersiowej leży też Dirk Jaspers z Gandawy w Belgii. Ma nadzieję, że wypiszą go w środę. – Pracuję dla gołębi. Trzy razy już byłem tu na wystawach i na pewno przyjadę jeszcze do Polski. Taka katastrofa mogła zdarzyć się wszędzie – mówi. Wielu rannych będzie musiało zostać w szpitalu dłużej, niż lekarze sądzili. – W niedzielę mieliśmy informacje o kilku osobach z odmrożeniami. Wczoraj okazało się, że jest ich znacznie więcej. Musimy być przygotowani na szybkie sprowadzenie dodatkowych ilości leków przeciw odmrożeniom. Normalnie w Polsce jest tego mało, a ludzi trzeba ratować przed amputacjami – mówi wiceminister zdrowia Bolesław Piecha. ◆

**Eksperti badają ruiny katowickiej hali**

## Więcej zabitych nie znaleziono. W szpitalu zmarła 62. osoba

62 osoby zginęły, 141 zostało rannych. Los pięciu osób jest wciąż nieznanym – to ostatni bilans tragedii w katowickiej hali wystawowej

W tuskim szpitalu zmarł wczoraj wczesnym rankiem 30-letni Mariusz Pałka, hodowca gołębi z Zamościa. To 62. śmiertelna ofiara sobotniej katastrofy na Międzynarodowych Targach Katowickich. – Od początku jego stan był bardzo ciężki. Miał zmiążdżoną miednicę, pojawiły się powikłania. Przeszedł dwie operacje jamy brzusznej. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale nie udało się go uratować. Stracił za dużo krwi – mówi Szczeban Bałdys, dyrektor szpitala. Przy Mariuszu Pałce cały czas był ojciec. W tuskim szpitalu jest jeszcze jedna osoba w ciężkim stanie. – Wierzmy, że tego rannego uda się ocalić – mówi Bałdys. Na rumowisku po zawalanej hali cały dzień pracowali wczoraj członkowie rzą-

dowej komisji, która wyjaśnia okoliczności tragedii. Biegli z dziedziny budownictwa ustalają, w jaki sposób i kiedy rozebrać konstrukcję. To trudne, bo podczas rozbiórki trzeba zapewnić bezpieczeństwo robotnikom, ale i zabezpieczyć wszelkie ślady, które pomogą prokuraturze ocenić przyczyny katastrofy. Do członków komisji dotarły wczoraj nowe informacje: ◆ konstrukcję hali stawiano w pośpiechu, ◆ dach już cztery lata temu groził zawaleniem, ◆ podczas pierwszych targów zaczął przeciekać, ◆ przyczyną katastrofy mogły być szkody górnicze. Członkowie komisji do czasu zbadania sprawy nie chcą komentować tych doniesień ani udzielać żadnych wyjaśnień. Jan Hoppe, były prezes MTK, zapewnia, że o poważniejszych kłopotach, z wyjątkiem przeciekającego dachu, nie wiedział. Do Katowic przyjechał wczoraj minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. – Życie ludzi zostało narażone z chęci zysku. Nie mamy żadnej wątpliwości, że dach hali nie był odśnieżony – powiedział na konferencji prasowej. Jako dowód poka-

zał siedmiocentymetrową bryłę lodu wyciętą z dachu. Jerzy Polaczek, minister transportu i budownictwa, zapowiedział dwie niezależne ekspertyzy dotyczące przyczyn zawalenia się hali – jedną z Politechniki Wrocławskiej, drugą z Politechniki Śląskiej. Ratownicy dwukrotnie, centymetr po centymetrze, przeszukali wczoraj ruiny. Chcieli mieć absolutną pewność, że nikt tam nie został. Dlatego po południu ogłoszono ciszę i na zwałowisko weszli przewodnicy z psami szkolonymi do poszukiwania zwłok. Nikogo nie znaleziono. 62 ofiary śmiertelne – to wczorajsze oficjalne dane prokuratury. Ale ta liczba może się zmienić, bo wciąż poszukuje się pięciu osób. Policja ma problemy z identyfikacją zwłok. Niektóre są tak uszkodzone, że potrzebna jest analiza DNA. **MARCIN PIETRASZEWSKI, JK, MG**  
Kogo jeszcze poszukuje policja;  
Hotel, który dał schronienie – s. 2;  
Dlaczego dach się zawalił – s. 3;  
Zaginęło 28 najlepszych polskich gołębi – s. 4;  
Rząd przyspiesza ustawę o ratownictwie – s. 6



Poniedziałek, godz. 17.10. Gruzy przeszukują jeszcze raz ratownicy z psami, by mieć absolutną pewność



ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.



ARCHIWUM RODZINY

## Gabriela, Jan i Tomek Knosalowie

– W niedzielę nigdy w domu nie siedzieli, zawsze brali dzieci, to na jakiś pokaz, to na festyn – mówi o małżeństwie Knosalów ks. Stanisław Wąsik, proboszcz parafii w Polskiej Nowej Wsi pod Opolem. Stąd w sobotę 42-letnia Gabriela i 45-letni Jan Knosalowie pojechali na wystawę gołębi. Zabrali synów: Tomka, który w niedzielę skończyłby siedem lat, i rok starszego Marka. Kiedy zawałił się dach, byli razem. Spod rumowiska udało się wyjść tylko Markowi. Dzień później babcia powiedziała mu, że mama, tata i jego brat nie żyją. Została mu tylko 19-letnia siostra, która do Katowic nie pojechała.

Knosalów znała i lubiła cała wioska. – To byli wspaniali ludzie – mówią ich sąsiedzi. – Przykładni parafianie, co niedzielę byli razem na mszy – mówi ks. Wąsik. – Znałem ich nie tylko z kościoła, ale również prywatnie. Nie wiem, jak wytrzymam pogrzeb.

Gabriela od 17 lat była sekretarką w miejscowej podstawówce. – Zawsze pogodna, zawsze uprzejma, chyba nigdy się nie denerwowała – wspomina dyrektorka Anita Jesse.

Jan Knosala pracował w Niemczech jako elektryk. – Ale był bardzo związany z rodziną, na każdy weekend stamtąd przyjeżdżał – mówi ksiądz.

Na wystawie gołębi jeździli co roku. To była największa pasja Jana Knosali. Sam hodował około 70 gołębi w przydomowym gołębniku.

– Córka zawsze wiedziała, że jak znika z domu, to trzeba go szukać w gołębniku – wspomina Helmut Soppa, ojciec Gabrieli. – Chłopców ciągnął tam za rączkę już od małego. A oni w niego tak byli zapatrzeni, że jak był w domu, to mu z kolan właściwie nie schodzili. W lodówce stoi jeszcze tort, bo mieliśmy w niedzielę wyprawić Tomkowi siódme urodziny – mówi Soppa.

Wczoraj w przedszkolu koleżki malowali dla Tomka obrazki na pożegnanie.

JUKA



ARCHIWUM RODZINY

# Hotel dał wsparcie i schronienie

**W Hotelu Uniwersyteckim dali ludziom koldry, koce, ciepłą herbatę, za darmo telefony.**

Najważniejsze, że była lista z nazwiskami rannych. Przynosiła ulgę tym, którzy znajdowali na niej krewnych. Ale czasami niosła rozpacz...

**H**otel Uniwersytecki. 11-piętrowy wieżowiec położony tuż przy Międzynarodowych Targach Katowickich. Roman Kalus z Radzionkowa zamówił tu pokój. Nie chciał jeździć z wystawy do domu, choć to tylko kilkadziesiąt kilometrów. – Przed godz. 16 poszedłem do pokoju odpocząć – wspomina. – Z drzemki wyrwało mnie przeraźliwe wycie syren. Wyjrzałem przez okno. Karetki, radiowozy. Zbiegłem na dół, do holu. Na targi już nikt nie mógł wejść. Wróciłem do hotelu. Ludzie nie wiedzieli, co się dzieje. Dzwoniły komórki, po chwili zobaczyłem, jak do holu wchodzi ludzie. Zakrwawieni.

Justyna Mostowik, kierowniczka hotelu, w sobotę czuła się źle. Przeziębiona wzięła w domu aspirynę, okryła się kocem i położyła na kanapie. To miało być spokojne sobotnie popołudnie przed telewizorem. Takie, które pozwoli wyleczyć katar i chrypkę. Nagle zadzwoniła komórka. „Justyna, przyjeżdżaj. Katastrofa, są ranni”.

– W hotelu chaos. Jedni ludzie biegali zdeorientowani, inni kręcili się w kółko, inni siedzieli w fotelach i płakali – mówi Mostowik. – Ktoś pytał o syna, o żonę, o córkę...

Mostowik zaczęła działać. Najpierw dyspozycje: kuchnia pełną parą gotuje kawę i herbatę; z wolnych pokoiów i magazynów wynieść pościel i koce; otworzyć świetlicę i salę konferencyjną; włączyć telewizory i radia. – Ludzie potrzebowali informacji – mówi kierowniczka. – Powiedzieliśmy, że mogą bezpłatnie korzystać z naszych telefonów. Dzwonili do rodzin albo na komórki tych, którzy zostali pod gruzami. Niektóre nie odpowiadały. Przysypiani błagali o pomoc. Słyszałam, jak jeden z mężczyzn przez telefon naprowadzał ratowników w miejsce, gdzie leżał. Udało się go uratować!

Zygmunt Mańnica z Wolsztyna (woj. wielkopolskie) wy dostał się z rumowiska o własnych siłach. – Instynktownie pobiegłem do hotelu. W holu zobaczy-

łem moich kolegów. Padliśmy sobie w ramiona, zaczęliśmy się ścisnąć, jakby każdy chciał się upewnić, że nikomu nic nie jest – wspomina. – Poszliśmy dzwonić do rodzin. W tym szoku nie mogłem sobie przypomnieć numeru do żony. Potem usiedliśmy przy telewizorze. Ktoś przyniósł kawę. W świetlicy było coraz więcej ludzi. Nikt nie chciał być sam.

Wkrótce powstała lista zaginionych. Imię i nazwisko, a obok informacja najważniejsza – w jakim szpitalu szukać. Kto wpadł na pomysł? Kto zapisał na niej pierwsze nazwisko? Najpewniej było tak: do hotelu ciągle przychodzili najmniej poszkodowani. Jeden z nich mówił, że żona została pod gruzami. Prosił, żeby ją znaleźć. – Ktoś zapisał nazwisko na kartce, a potem inni dopisywali kolejne – opowiada Mostowik. – Do listy dopisywaliśmy nazwiska ocalałych, których karetki odwoziły do szpitali. Tak właśnie powstał ten spis. Pomagał ludziom szukać się nawzajem. Wszystko

działo się tak szybko. Niektóre z nazwisk mogą być przekrecone.

Poniedziałek, dwa dni po tragedii. W hotelu już spokojnie, już niewiele osób przychodzi. Kto miał się odnaleźć, już się odnalazł. Ale lista wciąż wisi obok hotelowej recepcji. Bogumiła i Czesław Tadysonie z Katowic przyszli tu z samego rana. Przejrzeli spis dwa razy – z góry na dół, nazwisko po nazwisku. – Kolegów szukamy – mówią. Nie znaleźli. Tadysonie od lat hodują gołębie. Z hali wyszli o własnych siłach. Trudno im się pozbierać. Dzwonią po znajomych, szukają zaginionych. Pamiętają, że jak uciekali, ktoś krzychał: „Krzyśiek, Paweł, żyjecie?!”. Wczoraj za tych wszystkich Krzyśków i Pawłów przyszli zapalić świeczkę pod bramą targów.

Życie w Hotelu Uniwersyteckim powoli wraca do normy. Z gościnności hotelu korzystają teraz dziennikarze. Ustawili wozy satelitarne i czekają jak gołębie, które nie mogą z Bytkowa odlecieć.

ANNA MALINOWSKA, KATOWICE

## Nadbrygadier Janusz Skulich

# Chciał być aktorem albo strażakiem

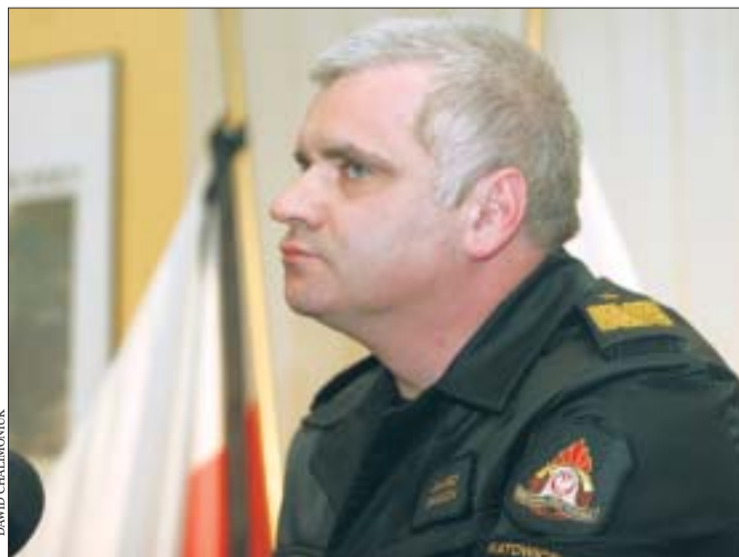
O nadbrygadierze Januszu Skulichu, komendancie śląskiej straży pożarnej, usłyszała cała Polska. To on dowodził akcją ratowniczą w katowickich halach wystawowych

**S**kulicha bardzo dobrze pamiętają w Kuźni Raciborskiej. W 1992 roku wybuchł tam gigantyczny pożar. Pochłonął 10 tys. ha lasów rejonie Kuźni Raciborskiej, Kędzierzyna-Koźła, Rud Raciborskich i Rudzińca. Akcja gaszenia trwała 15 dni z udziałem 10 tys. osób.

– Był jednym z najmłodszych dowódców – wspomina Kazimierz Szabla, dyrektor Lasów Państwowych w Katowicach. – Strażacy byli w akcji po kilka dni bez przerwy. Janusz przychodził do sztabu, kładł się pod kropłówkę i z powrotem do akcji. Kiedy przyszła wiadomość o śmierci dwóch strażaków, Andrzeja Kaczyny i Andrzeja Malinowskiego, widziałem łzy na jego twarzy. To nie była oznaka słabości, ale ludzki odruch – mówi Szabla.

Skulich pochodzi z Jaworzna, ukończył tam I Liceum im. Kościuszki. – Umysł miał ścisły, ale zdradzał też duże zamiłowanie do aktorstwa – opowiada jego wychowawca Roman Dziedzic.

Józefa Rakoczy, nauczycielka matematyki, wspomina apel, podczas którego Skulich wspólnie z kolegami przedstawił dramat stocznicy z Gdańska. – Ubrały był w flanelową koszulę. Twarz umalował farbami.



DAWID CHALIMONUK

Był duszą towarzystwa. – Nie potrafił kryć się z emocjami. Co na sercu, to na języku – mówi Rakoczy.

Dziedzic: – Powtarzał, że chce być albo aktorem, albo strażakiem.

Rakoczy: – Na początku wybrał aktorstwo. Przepadł na egzaminach. Potem mówił, że za bardzo się wygłupiał.

W 1987 r. ukończył Szkołę Główną Służby Pożarnej w Warszawie i rozpoczął służbę w Katowicach.

W 1997 r. pomagał powodzianom w Raciborzu. – Najpierw był ze swoimi ludźmi na miejscu powodzi, potem odpowiadał za zorganizowanie zaplecza, organizował dostawy sprzętu do Raci-

borza – przypomina Andrzej Brzozowski, komendant straży pożarnej w Raciborzu.

W 2000 r. Skulich gasił pożar magazynów i hali produkcyjnej katowickiej firmy Polarcup produkującej kubki, talerze i opakowania z polistyrenu oraz papieru. Ogień błyskawicznie się rozprzestrzenił. W środku były materiały łatwopalne. Temperatura w hali sięgała kilkuset stopni, a płomień strzelały na 40 m. Nikt nie zginął. Za tę akcję prezydent Aleksander Kwaśniewski odznaczył go Krzyżem Zasługi za Dzielność.

Przed czterema laty Skulich gasił rafinerię w Trzebini, a jesienią zeszłego ro-

ku płonący luksusowy hotel Gołębiowski w Wiśle.

Jaki jest w akcji? Edward Morciniec, który w 1992 roku był sekretarzem Urzędu Miasta w Kuźni Raciborskiej: – Konkretny, zdecydowany. W lot ocenia sytuację.

Szabla: – Potrafi podejmować decyzje. Profesjonalista. Spokojny, bez skłonności do wariactw. Nawet jak zaklnie, to w jego ustach takie słowa nie brzmią trywialnie i prostacko.

Brzozowski: – Urodzony dowódca. Potrafił przewidywać sytuacje. Zasadniczy, ale z ludzką twarzą. Żaden z niego zupak. Rozładuje żartem napiętą sytuację, a potem znów goni ludzi do roboty.

Szabla: – Pamiętam historię z Kuźni Raciborskiej. Jednemu z oficerów przytrafiła się chwila słabości. W sztabie akcji było ostro, ale Skulich i Piotr Buk, potem komendant główny PSP, stanęli w obronie tego człowieka. Oni dobrze wiedzieli, że w takich akcjach tylko media kreują ludzi na dobrych i złych.

Gdy w czerwcu 2002 r. Skulich obejmował szefostwo śląskiej straży, był jednym z najmłodszych komendantów wojewódzkich w kraju. Miał 39 lat. W zeszłym roku, w Dniu Strażaka, otrzymał nominację generalską na stopień nadbrygadiera. Dotąd nie było w straży młodszego generała.

Pasją Skulich jest informatyka i budownictwo. W Jaworznie postawił dom. Większość prac wykończeniowych wykonał sam. Żonaty, ma syna.

PIOTR ZAWADZKI  
WOJCIECH TODUR, MAB

## Mieli być na wystawie Policja poszukuje pięciu osób

Policja stworzyła listę osób zaginionych, które miały być na wystawie gołębi w Katowicach, ale do poniedziałku nie dały znaku życia

**L**istę stworzono na podstawie rozmów z zaniopokojonymi rodzinami, które przez cały weekend nie mogły się skontaktować z najbliższymi. Figuruje na niej nazwiska pięciu osób.

– Mówili krewnym, że w weekend wybierają się na wystawę gołębi do Katowic – powiedział nam młodszy inspektor Paweł Biedziak z Komendy Głównej Policji. Policjanci nie przesądzą jednak, że zaginięni leżą pod gruzami hali wystawniczej Międzynarodowych Targów Katowickich. Nie można bowiem wykluczyć, że część z nich w ostatniej chwili zmieniła plany. Jeżeli żyją, policja prosi ich o jak najszybszy kontakt z najbliższą komendą lub rodziną.

Dodatkowo funkcjonariusze apelują o kontakt wszystkie rodziny, których członkowie wybierali się w weekend na Śląsk i do tej pory nie ma z nimi kontaktu.

Lista zaginionych:

**Głanc Gabriela**  
ur. 16.10.1962r. z Siemianowic Śląskich,  
**Kawecki Radomir**  
ur. 03.01.1981 r. z Sosnowca,  
**Gruchel Adam**  
ur. 06.11.1972 r. z Chorzowa,  
**Kajtar Zsolt**  
ok. 40-45 lat, ob. Węgier – pracownik belgijskiej spółki VE,  
**Budryn Zygmunt**  
ur. 10.04.1974 r. z Chorzowa. PIET

## W SKRÓCIE

### Adwokaci pomogą ofiarom

Naczelna Rada Adwokacka w związku z tragedią w Katowicach podjęła uchwałę o udzielaniu przez adwokatów izby katowickiej bezpłatnej pomocy prawnej poszkodowanym. Prezydium Rady zwróciło się do pozostałych okręgowych rad adwokackich, aby informowały o możliwościach uzyskania bezpłatnej pomocy prawnej przez osoby, które dotknęła tragedia. ES

### Spadł z dachu, który odśnieżał

51-letni mężczyzna spadł wczoraj rano na terenie fabryki mebli z odśnieżanego dachu stolarni w miejscowości Jankowa (Wielkopolska) i doznał bardzo poważnych obrażeń. Spadł z wysokości prawie 5 m na betonową posadzkę. – Prawdopodobnie pośliznął się na świetliku z tworzywa sztucznego – powiedział nam komisarz Krzysztof Kostusiak, rzecznik prasowy Komendy Powiatowej Policji w Kępnie. Ranny ma złamany kręgosłup, żebra, obojczyk oraz pękniętą podstawę czaszki.

PIOTR BOJARSKI, POZNAŃ



ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.



## Czesław Łagódka

Na stole w domu Łagódków w Laskowicach koło Bydgoszczy stoi pokryta wyschniętym majonezem sałatka ziemniaczana – ulubiona potrawa Czesława, którą jego żona szykowała na powrót męża. I której już nie zdążył spróbować.

Dwa lata temu 56-letni Czesław Łagódka założył u siebie na działce oczko wodne, wpuścił ryby – ponad 300 sztuk. – Mówił, że jak już pójdzie na emeryturę, będzie siedział całe lato nad tym oczkiem i patrzył, jak sobie pływają. W przerwach zajrzy do gołębi. I tak dożyje spokojnie swoich dni – wspomina z płaczem Urszula Kryspin, przyjaciółka domu państwa Łagódków. – Jeszcze w czwartek Czesiu śmiał się, że już niedługo do tej emerytury, że jeszcze tylko rok i przestanie kontrolować te swoje pociągi. Od ponad 20 lat pracował jako rewident na PKP.

Czesław Łagódka do Katowic wybrał się z przyjacielem Mariuszem Stoltmannem. Razem wypuszczali gołębie. Razem przesiadywali przy piwku i rozmawiali godzinami o królikach, gołębiach, rybach.

JK



## Mariusz Stoltmann

Gizela, matka 34-letniego Mariusza Stoltmanna z Nowych Kraplewic koło Bydgoszczy, nie może się uspokoić. Mówi o trumnie, o szukaniu ciała, a chciałaby o kołysce – małżeństwo Mariusza i Wiesi tak dobrze rokowało. – Gdyby nie te gołębie, byłoby inaczej...

– Mariusz, człowiek dobry, uczynny, łagodny, był prawie zupełnie zjedzony przez te swoje gołębie – mówi Gizela Stoltmann. – Choć był też gitarzystą szkolnego zespołu i grał w piłkę w lokalnym klubie sportowym, w ataku. – Gdy rok temu wyjechali z żoną do Anglii pracować, prosili, żeby zaglądać do ptaków, sytać im jedzenia. No i tak na zmianę z Czesiem wpadaliśmy – mówi matka.

Czesław Łagódka, przyjaciel Mariusza, wziął urlop pracy. Mariusz nie musiał. W firmie Prosiaczek, gdzie był masarzem, przysługiwał mu wolny weekend. Czesław nie zabrał żony. Mariusz pojechał z Wiesią.

Gizela Stoltmann: – Jak Wiesia zadzwoniła, pytałam, jak to się stało, że ona przeżyła, a on nie, chociaż stali przy tym samym stoisku. Okazało się, że jak lupnęło, to Wiesia pobiegła na lewo, Mariusz – na prawo. I przepadł. Ona wydoszła się mimo zamkniętych drzwi awaryjnych, ale jego komórka pozostała już do końca głucha.

Mariusz rzadko komu odmówił pomocy przy świńbiciu. Przepadał za matczyną specjalnością – golonką w śliwkach. – Zup nie ruszał. Wolał mięso – wspomina Gizela Stoltmann. Po chwili łapie się na tym, że mówi już o synu w czasie przeszłym, i długo płacze.

JK

# Dach już cztery lata temu groził zawaleniem?

**Twierdzi tak były pracownik Międzynarodowych Targów Katowickich.** Według niego już zimą 2002 r. przed targami gołębiarskimi strop był wykrzywiony, pęknięty i wypadały z niego śruby. Nieoficjalnie hala miała tzw. tanie metry, czyli miejsca, gdzie zawsze się łało z dachu podczas opadów czy odwilży

Specjalna komisja powołana przez Ministerstwo Transportu i Budownictwa, która ma wyjaśnić przyczyny katastrofy, oraz katowicka prokuratura apelacyjna dostały pismo byłego pracownika Międzynarodowych Targów Katowickich, który twierdzi, że już cztery lata temu w tym samym miejscu mogło dojść do tragedii.

„Gazeta” rozmawiała z autorem listu, który był montażystą w MTK. – Zimą 2002 roku przed targami „Gołąb” (w minionej sobotę odbyła się ich siódma edycja) były wielkie opady. Jednak nikt nie myślał o zalegającym śniegu na dachu. Byliśmy wewnątrz, gdy zauważyliśmy spadające z góry kilkucentymetrowe śruby – opowiada.

Razem z kilkoma montażystami natychmiast wybiegli z hali i weszli na dach. Zauważyli pęknięcie i skrzywienie stropu. Straż pożarna, którą poproszono o usunięcie śniegu, odmówiła. Zażądała, by strop został najpierw zabezpieczony od środka. Zrobiono to za pomocą dwóch podpór.

– Dach odśnieżyli w końcu sami pracownicy MTK. Robiliśmy to przez kilka dni szuflami, łopatami i taczkami, ale i tak odśnieżyliśmy tylko niektóre miejsca. Po tem w miejscu pęknięcia strop został zsapanowany i skręcony śrubami. Już wtedy się mówiło, że dach ma być rozebrany i wzmocniony – mówi nasz informator.

Montażysta zna doskonale historię hali: – Stawiali ją w pośpiechu. W styczniu

2000 roku, tuż przed targami rowerowymi, weszliśmy, by montować stoiska. Budowlańcy dopiero kończyli podłogę i montaż dachu.

Nasz rozmówca pamięta, że już w dniu otwarcia pierwszych targów dach zaczął przeciekać. – I tak było przy każdej wystawie. Nieoficjalnie hala miała tzw. tanie metry, czyli miejsca, gdzie zawsze się łało z dachu podczas opadów czy odwilży, więc za wynajęcie stoiska można było zapłacić mniej.

Jak twierdzi, na początku zimy w 2001 roku w podłodze powstało pęknięcie: – Wypełniono je jakimś kitem.

Jan Hoppe, były prezes MTK, zapewnia, że o poważniejszych kłopotach z wyjątkiem przeciekającego dachu nie wiedział. – Budowa hali chyba nie była pośpieszna, skoro trwała kilkanaście miesięcy. Takie hale buduje się szybciej, były nawet pewne opóźnienia – uważa Hoppe. Jak nam powiedział dzień wcześniej, słyszał jednak, że dach hali ugiął się w tym roku.

Z tymi rewelacjami zapoznana się już specjalna komisja, która ma wyjaśnić przyczyny katastrofy. Spyaliśmy jednego z członków komisji, co o tym sądzi, ale odmówił komentarza. Komisja nie zamierza bowiem udzielać żadnych wyjaśnień do czasu zbadania sprawy.

Nasz rozmówca powiedział tylko, że wiele wskazuje na to, iż przyczyną tragedii była nie tylko zalegająca na dachu ha-

li gruba warstwa śniegu i lodu, ale również wady konstrukcyjne budynku. Jednak opowieść byłego pracownika komisja potraktowała na tyle poważnie, że przekazała je prokuraturze apelacyjnej.

Do informacji byłego pracownika MTK nie chciał się odnieść Grzegorz Słyszcz, pełnomocnik obecnego zarządu MTK. Cieszy się tylko, że kilkadziesiąt godzin po katastrofie wśród jej domniemyanych przyczyn nie wymienia się już tylko zalegającego na dachu hali śniegu.

Słyszcz uważa, że przyczyną katastrofy mogły być np. szkody górnicze. Jednak, jak nam powiedział Stanisław Ciszewski, dyspozytor Wyższego Urzędu Górniczego w Katowicach, ostatni wstrząs na Górnym Śląsku został zarejestrowany 25 stycznia w Rydułtowach koło Rybnika. – Ale był odczuwalny tylko w kopalni, a nie na powierzchni. W Katowicach nie było ostatnio odczuwalnych wstrząsów.

Wczoraj razem z policją i prokuraturą członkowie komisji oglądali rumowisko. Jerzy Polaczek, minister transportu i budownictwa, powiedział nam, że zleciła ona dwie niezależne ekspertyzy dotyczące przyczyn zawalenia się hali. Jedną powstanie na Politechnice Wrocławskiej, a drugą na Politechnice Śląskiej. Zostanie również ustalony szczegółowy harmonogram usuwania rumowiska, aby nie zniszczyć żadnego elementu konstrukcji.

JÓZEF KRZYK  
PRZEMYSŁAW JEDLECKI, KATOWICE

## Śledztwo w sprawie katastrofy

# Oszczędzali na odśnieżaniu



Minister Ziobro pokazuje kawałek lodu z dachu katowickiej hali

Prokuratorzy nie mają wątpliwości, że drzwi ewakuacyjne były zablokowane, a dach nieodśnieżony. – Życie ludzi narażono z chęci zysku – stwierdził wczoraj minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro

Katowicka prokuratura przedstawiła pierwsze wyniki śledztwa, które ma ustalić winnych katastrofy. W konferencji prasowej uczestniczył minister Ziobro.

Wiadomo już, że drzwi ewakuacyjne w hali były pozamykane. Uciekający przed walącym się dachem ludzie wybijali w nich szyby krzesłami. – Część wylamali, napierając własnymi ciałami

– mówił Krzysztof Sierak, szef Prokuratury Okręgowej w Katowicach. Na miejscu tragedii spędził kilkadziesiąt godzin, nadzoruje śledztwo.

Nie ma także już żadnych wątpliwości, że dach hali wbrew zapewnieniom jej właścicieli nie był odśnieżony. Prokuratorzy potwierdzili informację „Gazety”, że zalegała na nim siedmiocentymetrowa warstwa lodu oraz ok. 30 centymetrów śniegu. – Nie przesądzam, że to był główny powód katastrofy, ale to musiało zrobić swoje – tłumaczył min. Ziobro, pokazując dziennikarzom ważący kilka kilogramów lodowy blok z dachu hali. – Ta tragedia musiała wynikać po części z chęci oszczędzania na odśnieżaniu – dodał Ziobro.

Zebrany na miejscu tragedii lodem i śniegiem zajmują się już glaciolodcy, którzy badają jego strukturę oraz określi, jak długo tam leżał. – W grę wchodzi raczej tygodnie, a nie dni – twierdził prokurator Sierak.

Prokuratorzy sprawdzą także, czy nie było błędów konstrukcyjnych w projekcie hali oraz czy przy budowie wykorzystano materiały zgodne z polskimi normami. – Mamy nadzieję, że biegli pomogą nam ustalić, która część dachu nie wytrzymała i pękła jako pierwsza – mówił prowadzący śledztwo prokurator Tomasz Tadla.

Wczorajem przesłuchiwani byli dwaj członkowie władz Międzynarodowych Targów Katowickich. Odmówili zeznań. Śledczy rozmawiają też z tymi, którzy przeżyli katastrofę, i zbierają dokumentację dotyczącą hali. – Chcemy mieć kompletny materiał dowodowy, bo nie wiemy, jakiej linii obrony spodziewać się po potencjalnych podejrzanych – tłumaczył szef katowickiej prokuratury.

Ziobro zapowiedział, że w przypadku informacji o lekceważeniu zaleceń o odśnieżaniu dachów w budynkach wielkopowierzchniowych prokuratury będą wszczęły śledztwa przeciwko ich właścicielom.

MARCIN PIETRASZEWSKI, KATOWICE

## Rozmowa z projektantem konstrukcji hal stalowych

# Gdy śniegu jest ponad 30 cm, to dachy mogą nie wytrzymać

Już 4 stycznia rozesłałem faks do właścicieli i administratorów obiektów, które zaprojektowałem. Prosiłem, by zwałać śnieg z dachu, bo mogą nie wytrzymać – mówi Piotr Fałęcki, inżynier konstruktor m.in. takich obiektów jak sklepy Ikea

**Dariusz Bartoszewicz:** Architekci skarżą się, że inwestorzy z Zachodu chcą, by u nas projektować i budować jak najoszczędniej.

**Piotr Fałęcki, inżynier konstruktor:** Rzeczywiście, jest taka presja na polskich projektantów.

**Co Pan mówi inwestorom, kiedy każą ciąć koszty i oszczędzać drogą stal?**

– Odpowiadam im brzydko po angielsku i się z nimi rozstaję. Choć większość

projektantów oszczędza, to polskie normy nigdy nie są przekroczone.

**Jakie są polskie normy?**

– W Katowicach i Warszawie dach płaski obliczany jest na obciążenie śniegiem 78 kg na m kw. Jedynie w rejonach podgórskich i górach obciążenie może dochodzić do 420 kg na m kw. Wiemy, że w praktyce metr sześcienny śniegu może ważyć od 100 do nawet 800 kg.

**Pokrywa pół metra śniegu na dachu to...**

– ...jakieś 250 kg wagi na metr kwadratowy. Żaden projektant nie przewiduje takiego obciążenia w Polsce.

**A w Rosji, gdzie więcej pada?**

– Po katastrofach w 2004 r. rosyjskie normy się zmieniły. Teraz konstrukcja dachu musi tam wytrzymać więcej, np. w Moskwie 180 kg na m kw.

**Nasz klimat bardziej przypomina moskiewski niż paryski.**

– Coraz częściej rozmawiamy w środowisku konstruktorów, że nasze normy powinny się zastrzyć. W PRL nie projektowało się tylu tak ogromnych sklepów czy hal. Po obfitych opadach śniegu 4 stycznia rozesłałem faks do wszystkich inwestorów, dla których projektowałem hale. Ostrzegłem w nim, że spadł tzw. normowy śnieg, co oznacza 32-centymetrową grubość jego pokrywy. Trzeba wchodzić na dachy i go zrzucić, bo konstrukcja może nie wytrzymać.

**Pan musi tego pilnować?**

– Nie mam takiego obowiązku. Ale czułem potrzebę, by o tym właścicielom i administratorom obiektów przypomnieć.

**Jak zareagowali? Zaczęli zwałać śnieg?**

– Ikea w Jankach zwałała, firma Ghe-lamco i AIG Lincoln też.

**A inni?**



ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.



## Wiesław Jereczek

Gołębiami pocztowymi w rodzinie Jereczków zajmują się prawie wszyscy mężczyźni. Na targi do Katowic – drugi raz w życiu – Wiesław miał pojechać razem z bratem, ale coś mu wypadło i w ostatniej chwili zrezygnował. Najbardziej doświadczony w rodzinie hodowca – wuj Kazimierz – liczył, że w poniedziałek Wiesław opowie mu o swoich wrażeniach z wystawy. – Miał być u mnie, opowiedzieć o nowinkach, co zobaczył, co przywiózł – opowiada Kazimierz Jereczek. – Kiedy w sobotę usłyszałem o tragedii, od razu mnie coś tknęło, że tam wśród ofiar może być Wiesiek. On tak bardzo chciał wszystko zobaczyć, taki był zaangażowany. To ja wciągnąłem Wieska w to wszystko... Zaczął zaraz po wojsku.

Gołębniak Wiesława Jereczka stoi na działce niedaleko jego domu w Pszczółkach koło Gdańska. 42-letni mechanik maszyn rolniczych cały wolny czas poświęcał na dogłębne badanie ptaków. Ciało Wiesława zidentyfikowała jego narzeczona, która przyjechała do Katowic z Niemiec. – Jego rodzice nie mogli jechać, bo to już ludzie po siedemdziesiątce – mówi Kazimierz Jereczek.

Prezes oddziału Polskiego Związku Hodowców Gołębi Poczтового w Pszczółkach Roman Narloch: – Jereczek miał około setki gołębi, był dobrym hodowcą. Są hodowcy źli, dobrzy i bardzo dobrzy – on był dobry i ciągle piął się w górę.

SLA



## Grzegorz Ogórek

35-letni Grzegorz Ogórek pochodził z Kleszczewa, małej wioski pod Gdańskiem. – To była złota rączka – to kafelki kładł, to plot naprawił, to komuś pomógł – wspominają sąsiedzi. W Kleszczewie mieszkał z 70-letnią matką i 30-letnią siostrą. Był kawalerem. – Bardzo był zżyty z tymi gołębiami. Witaminki im dawał, odżywkę, kiedy je karmił, na podwórku musiało być cicho, żadnej muzyki, wszystkich przeganiał – opowiada matka Grzegorza Felicja.

W ubiegłym roku Grzegorz zawiesił jednak członkostwo w Związku Hodowców Gołębi Poczтового i wyjechał do Anglii do pracy. Był stolarzem w dużej firmie. Znajomym mówił, że mu się powiodło, dobrze zarabia. Prezes oddziału Polskiego Związku Hodowców Gołębi Poczтового w Pszczółkach Roman Narloch: – Dzwonił do mnie. Pytałem: Grzegorz, a co z hodowlą? To on mówi, że ją odnowi, tylko że praca teraz najważniejsza, ale na te targi jeszcze się wybrał.

Przyleciał do Katowic z Anglii. Na targach spotkał kolegów hodowców. – Nie mogę uwierzyć, że Grzesia już nie ma. Ciągłe są jego gołębie. Mówiłam mu, jak wyjechał: Grzesiu, zrób coś z tymi ptakami, bo ja już nie mam siły po tej drabinie skakać. A on: Mamusiu, ale ja nie mam serca, może tu jeszcze wrócić – mówi Felicja Ogórek.

SLA

## Wyjaśnienie

Tę rozmowę w niedzielę wyemitowała TVN 24: mężczyzna przygnieciony w katowickiej hali prosi o pomoc. Mówi, że jest przysypany metalem, leży na nim niezwykła kobieta. Nagranie było przedstawione jako skandaliczny przykład na to, że w Polsce nie działa numer alarmowy 112 – bo uszkodzony dzwonił się nie do Chorzowa czy Katowic, lecz do Wrocławia. Zapis rozmowy wydrukowała „Gazeta”.

Wczoraj do redakcji zadzwonił szef biura prasowego prezydenta Wrocławia. Okazało się, że było inaczej. Uwieczony mężczyzna zadzwonił do rodziny we Wrocławiu, rodzina zadzwoniła do wrocławskiej straży pożarnej. I to strażak z Wrocławia zadzwonił do mężczyzny uwięzionego w katowickiej hali i obiecał mu pomoc.

Rozmowa odbywała się tuż po wypadku i strażak próbował wydobyć od poszkodowanego jak najwięcej szczegółów, by przekazać je dalej. Stąd absurdalne z dzisiejszej perspektywy pytanie o ulicę, przy której doszło do katastrofy.

Dzięki informacjom przekazanym przez uwięzionego ratownikom łatwiej było go odnaleźć. Przeżył.

REDAKCJA

# Wróciły jedynie dwa pstre

Gołębie spojrzały w górę. Chwilę później runął dach. Tak opowiadał w radiu jeden z gołębiarzy.

Stefan Górek tego nie widział

W hali wystawowej Międzynarodowych Targów Katowickich 1050 najlepszych gołębi w Polsce, w osobnych klatkach, w 12 rzędach. 28 ustawiono w najbardziej widocznym miejscu. To reprezentacja Polski. Najpiękniejsze, najszybsze. Nie miały szans ocaleć.

Ta niebieska samiczka należy do Górka. – 0332983945 – mówi bez zająknięcia. – Pamięta pan numer z obrączki rodowej?

– Mam 120 gołębi. Gdyby je wszystkie wypuścić w powietrze, ja każdego wskażę – taki a taki numer. Z pamięci.

Górek w piżamie i wełnianych skarpetkach siedzi na łóżku w szpitalu w Rudzie Śląskiej. Oczy nieobecne, jakby był w swoim gołębniku na strychu kamienicy w centrum Katowic. – Nie słucham prognozy pogody. Patrzę na gołębie. Jak trzępią łebkami w pojniku, to już wiem: aha, chcą się kapać, za dzień, dwa będzie deszcz. Wyczuwają zmianę ciśnienia.

Górek przerywa, jęczy. To żebro, złamane. Gdyby syn się na niego nie rzucił, nie odsunął, nie przykrył własnym ciałem, ojciec mógłby nie żyć. Tam, gdzie stał, przewrócił się potężny, żelazny filar. – Hoduję gołębie od ósmego roku życia – opowiada dalej. – Mój ojciec hodował

Kiedyś, w latach 60., 70., to był czysty sport. Gómiczy sport. Siadało się w ogródku, piło się herbatę, puszczało gołębie i patrzyło, jak wracają.

0332983945 to mistrzyni w klasie sportowej w kategorii B. Na dystansie 300-600 km pierwsza w Polsce. 60 km pokona w godzinę. – Jak jej nie zobaczę martwej, to nie uwierzę, że nie żyje.

Siedziba Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych w Chorzowie. Gruchanie. W klatkach gołębie wyniesione w niedzielę z hali. Połowa tego, co było, posortowana na okręgi. Prezesi zgłaszają się po odbiór. Jan Benedykt z Brzegu Dolnego wpatruje się w klatki. – Miała taki niespotykany, czerwony kolor. Wołałem na nią Ruda. Dwuletnia, młoda samiczka. Moja najlepsza. Dzisiaj nie było mgły. Jeśli jastrzębie jej nie dopadną, powinna wrócić do domu.

– Znaleźliśmy dwa gołębie z naszej reprezentacji! – wpada uradowana Dorota Benedykt. Kiedyś była zła na męża. Dzieci małe, a Jan w ogródku gapi się w niebo na ptaki. – To taka żyłka. Spotykają się i gadają. O czym? O gołębiach! Sama się zaraziłam.

Edward Woźniak wrócił wczoraj do domu do Wałbrzycha bez swoich gołębi. Całą niedzielę szukał. Wystawiał siedem, sa-

me olimpijczyki. – Kiedy pan pomyślał: co z moim gołębiem? – pytam Górka. – Czołgaliśmy się z synem po wodzie, po szkle, siedem metrów do wyjścia, w samych swetrach. Pojechaliśmy do domu i dopiero się ocknęliśmy. Złapaliśmy się za ręce i rozplakaliśmy. Żyjemy!

Do Jerzego Tokarza z Piekar Śląskich i do Józefa Krzywiana ze Starokrzepic (za Częstochową) wróciły ich ptaki. (oba pstre. MALGORZATA GOŚLIŃSKA

## Zaginęła gołębia reprezentacja

Hodowcy gołębi są już pewni, że zaginęły wszystkie z 28 polskich czempionów. – Dach hali runął prosto na klatki wszystkich gołębi z reprezentacji Polski – mówi Tomasz Osieński, wiceprezes Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych w Chorzowie. – Niektóre latały od czterech lat, po 1600 km rocznie. Zdobywały puchary na trasach od Barcelony po Watykan. Latały nawet w imprezach z pół bitewnych, spod Monte Casino, Verdun, Bredy. Nie wiem, czy po takiej stracie będziemy w stanie odbudować reprezentację na przyszłoroczną olimpiadę w Ostendzie. KAPI

Chorzowska policja otworzyła biuro rzeczy znalezionych w zawalonej hali wystawienniczej

## Pokój prawdy i rozpacz

Torby, walizki, kurtki, laptopy, aparaty, telefony komórkowe, kamery, dokumenty, kluczyki samochodowe i pieniądze

Rzeczy osobiste ofiar katastrofy są składane w największym pokoju wydziału kryminalnego chorzowskiej policji. Policjanci biurka poprzesuwno pod ściany, a krzesła, regały i stojaki na ubrania wyniesiono na korytarz. Przez całą niedzielę policjanci zwozili do komendy przedmioty, które ratownicy znajdowali w gruzach hali wystawienniczej Międzynarodowych Targów Katowickich.

– To niezwykle wymowny obraz skali tej tragedii – mówił Bogdan Nowak, zastępca szefa Komendy Miejskiej w Chorzowie.

Najwięcej jest walizek i toreb turystycznych. Ubłocone, pokryte plamami krwi. W kącie leży stos kurtek i marynarek, aparaty fotograficzne, kamery, dokumenty, kluczyki samochodowe i pieniądze. Każda rzecz dokładnie opisana i zewidencjonowana. Policjanci wydają je tylko tym, którzy potrafią udowodnić, że przedmioty należą do nich lub ich krewnych. – Pytaliśmy np. o numer telefonu albo opis tego, co znajduje się w danej torbie – mówi Jarosław Piskorz, rzecznik chorzowskiej policji.



TOMASZ WAJSRUCH

Przed wejściem do komendy kłębili się wczoraj tłum zdenerwowanych ludzi, którzy przeżyli piekło walącej się hali, oraz rodziny tych, którzy zostali pod gruzami. Wszyscy chcieli wejść do środka. – Tam jest komórka mojej córki – krzyczał jeden z mężczyzn. – A ja zgubiłem wszystkie swoje dokumenty – powtarzał drugi.

Młoda policjantka, która wpuszczała ludzi do komendy, próbowała tonować nastroje. – Rozumiem państwa ból, ale jednorazowo rzeczy mogą przeglądać tylko dwie, góra trzy osoby. Więcej po prostu nie zmieści się w pokoju – tłumaczyła.

Sebastian Czekalski z Połupina w Lubuskim odnalazł w komendzie firmowe laptopy. Jego siostra i szwagier stracili jednak swoje dokumenty, przepada im także sakiewka z pieniędzmi z utargu. Wypisany ze szpitala Francis Nolmans, szef belgijskiego koncernu Britcon, szukał neseseru z firmowymi dokumentami. Zamiast niego natrafił na kartonowe pudło opatrzone nazwiskiem swojego kolegi. – On już po to nie przyjdzie. Nie żyje – powiedział policjantom. Chwilę później karton trafił do innego pokoju. Tutaj składa się rzeczy tych, którzy nie przeżyli. MARCIN PIETRASZEWSKI

Pragnę złożyć wyrazy najgłębszego współczucia

Rodzinom

wszystkich

Zmarłych

i Poszkodowanych

w sobotniej tragedii na Śląsku

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej  
Lech Kaczyński

Głęboko wstrząśnięty tragedią na Śląsku

składam

Rodzinom i Bliskim

Ofiar

katastrofy

wyrazy głębokiego współczucia i zapewnienia o duchowej solidarności

Kazimierz Marcinkiewicz  
Prezes Rady Ministrów  
Rzeczypospolitej Polskiej



Wstrząśnięci tragicznymi wydarzeniami  
w hali Międzynarodowych Targów Katowickich  
łączymy się w bólu i żalu z

Rodzinami

Ofiar

oraz wszystkimi Poszkodowanymi

Składamy wyrazy najgłębszego współczucia

Karol Osowski  
Przewodniczący Sejmiku Województwa Zachodniopomorskiego

Zygmunt Meyer  
Marszałek Województwa Zachodniopomorskiego



ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.



## Tomasz Kania

– Ta wystawa była dla nas bardzo ważna – mówi Magda Kania, żona Tomasza, właściciela hurtowni z artykułami dla gołębi z Rybnika. – Trzeba było jechać, bo z sprzedaży tych produktów w końcu żyjemy. Nie miałam żadnych złych przeżyć, żadnych złych snów. Tomka znałam od dziecka, mieszkaliśmy po sąsiedzku. Razem bawiliśmy się na podwórku. Przed 14 laty wzięliśmy ślub. Mój mąż był domatorem. Rodzina, dom to były najważniejsze rzeczy w jego życiu, żeby wszyscy byli zdrowi, niczego nie brakowało. Wolny czas spędzaliśmy też w domu. Tomek uwielbiał głęboki fotel i dobrą książkę.

Planowaliśmy wybudować dom. Mój mąż już projektował go w wyobraźni. Ogródek, meble. Miało być jak w bajce: żyli długo i szczęśliwie. To szczęście to miał być spokój. Bez szaleństw, ekstrawagancji. Nie chcieliśmy dużo, pieniądze nie były najważniejsze. Teraz to wszystko się skończyło. Tam zginął także mąż mojej siostry Mirek.

Tomasz Kania miał 35 lat. Osierocił dwóch synów – 11- i 13-letniego.



## Leszek Pałac

W domu państwa Pałaców w Łebie dwa pokoje są pełne statuetek, pucharów i dyplomów. To nagrody dla Leszka Pałaca za osiągnięcia jako hodowcy gołębi. Miał ich dwieście. Na wystawę wybrał się z przyjaciółmi – Franciszkiem Szymikowskim i Michałem Klasą.

– Na targi do Katowic jeździliśmy regularnie od 1999 roku. Tym razem kupiliśmy z Leszkiem wspólnie osiem pięknych gołąbków z renomowanej hodowli, od 300 do 800 zł za sztukę. Jeszcze przed katastrofą wynieśliśmy je do znajomego z Katowic. Cieszyliśmy się, że pięknie będzie je oglądać, jak polecą nad morze – opowiada Klasa.

Szymikowski wyszedł z hali krótko przed katastrofą.

– Staliśmy z Leszkiem ramię w ramię, gdy nad głowami usłyszeliśmy potężny huk – mówi Klasa. – On rzucił się do ucieczki, w otwartą przestrzeń. Ja instynktownie skoczyłem w szczelinę między ladą handlową a ścianą boksu wystawowego. Gdy otworzyłem oczy, Leszka nie było. To był najwspanialszy facet, jakiego w życiu spotkałem.

Leszek Pałac był właścicielem sklepu spożywczego w Łebie. Latem przyjmował w domu czasowiczów. Miał 55 lat, żonę i dwoje dorosłych dzieci.

AM

ROD

### Rozmowa z lekarzem

## Tylko na Śląsku mogło być tak sprawnie

**Iwona Hajnosz:** Jako jeden z najlepszych fachowców w tej dziedzinie w Polsce został Pan wezwany do Katowic.

**Dr Przemysław Guła:** Z Krakowa ściągnęli mnie komendant śląskiej straży pożarnej generał Janusz Skulich i wiceminister zdrowia Jarosław Pinkas. Byłem jednym z koordynatorów akcji. Od soboty, od godz. 23 do niedzieli, do godz. 15.

### Akcja przebiegła sprawnie?

– Generalnie tak. Nie licząc tego, że karetki pogotowia nie miały między sobą łączności, nie było jej też pomiędzy policją, strażą pożarną, pogotowiem. Podczas ćwiczeń, które odbyły się w Szczyrku tydzień przed katastrofą, trenowaliśmy postępowanie z ofiarami w hipotermii. Ćwiczyliśmy ratowanie ludzi zaspanych lawiną. Zdobyta wtedy wiedza bardzo się teraz przydała wielu ekipom pogotowia. W takich przypadkach najefektywniejsza jest metoda przetaczania krwi pacjenta do specjalnej maszyny, gdzie jest dotleniana oraz oczyszczana, a równocześnie stopniowo podgrzewana. Taki sprzęt mają oddziały kardiologii. Dlatego postawiliśmy w stan gotowości kliniki na Śląsku i w Małopolsce. Okazało się, że w gruzach hali nie było ani jednej osoby, której moglibyśmy udzielić tego typu pomocy, ale i tak ta wiedza procentowała. Dużo ekip, z którymi spotkaliśmy się w Szczyrku, pracowało przy hali.

**Widział Pan, jak ratuje się ofiary zamachów w Izraelu, po trzęsieniach ziemi i powodziach w Turcji, Iranie, Indiach. Niewiele jest Pana w stanie zaskoczyć...**

– A jednak w Katowicach zobaczyłem coś niezwykłego. Zobaczyłem, jak pracują górnicze służby ratownicze. Coś niesamowitego. Jak oni przekopywali się przez tony stali i lodu! Nigdzie jeszcze czegoś takiego nie widziałem, tak ogromnej solidarności ludzkiej i takiego zacięcia.

**Czy gdyby do podobnego wypadku doszło w innym mieście w Polsce, działania ratownicze też zakończyłyby się tak jak na Śląsku?**

– O wiele gorzej. Po pierwsze, nie byłoby ratowników z kopalni. Po drugie, Katowice – ze względu na specyfikę regionu – mają dużo wyspecjalizowanych jednostek straży pożarnej. Po trzecie, jest tu takie nagromadzenie szpitali i klinik, że pomimo dużej liczby rannych i wymagających pomocy mieliśmy ich gdzie kłaść. I wreszcie po czwarte, Śląsk jako jedyne województwo w Polsce ma Wojewódzkie Centrum Koordynacji Ratownictwa Medycznego. W każdym momencie akcji wiedzieliśmy, w którym szpitalu są wolne łóżka, stoły operacyjne, a gdzie stanowiska do intensywnej terapii.

Rozmawiała IWONA HAJNOSZ

Wstrząśnięci wiadomością o tragicznej śmierci w Katowicach

## Tomasza Mazurkiewicza

składamy

### Rodzinie

wyrazy głębokiego żalu i współczucia

Zarząd i pracownicy firmy Cargill (Polska) Sp. z o.o.

Pograżeni w głębokim smutku składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia

## Rodzinom i Najbliższym Ofiar

tragicznej katastrofy budowlanej na Międzynarodowych Targach Katowickich w Chorzowie.

Wszystkim Osobom poszkodowanym życzymy jak najszybszego powrotu do zdrowia.

W imieniu społeczności miasta Chorzów

Prezydent Marek Kopel  
i Przewodniczący Rady Miasta Henryk Wieczorek

Jesteśmy głęboko wstrząśnięci tragedią jaka wydarzyła się na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich

## Rodzinom oraz Bliskim Ofiar

wszystkich

składamy wyrazy najgłębszego żalu i współczucia

Prezydent Miasta Katowice Piotr Uszok,  
Przewodniczący Rady Miasta Katowice Jerzy Forajter  
oraz Radni Rady Miasta Katowice

Z głębokim smutkiem przeżywam tragedię, która wydarzyła się na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich.

Łącząc się w bólu

## Rodzinom i Bliskim Ofiar

składam wyrazy głębokiego współczucia i żalu

Michał Czarski  
Marszałek Województwa Śląskiego

Łączymy się w głębokim bólu i żalu z

## Ofiarami

wielkiej tragedii w Katowicach oraz z Ich

### Rodzinami i Bliskimi

Wszystkim cierpiącym składamy wyrazy najgłębszego współczucia.

W tej szczególnej chwili wszyscy jednoczymy się w głębokim smutku ze wszystkimi, którzy stracili tych, których kochali.

Niech w naszych sercach Ci, co odeszli, żyją wiecznie

Wojciech Olejniczak  
Przewodniczący  
Sojuszu Lewicy Demokratycznej

Grzegorz Napieralski  
Sekretarz Generalny  
Sojuszu Lewicy Demokratycznej

## Rodzinie i Bliskim sierżanta sztabowego Tadeusza Bartosika

który zginął tragicznie pełniąc służbę policyjną, pragnę złożyć wyrazy głębokiego współczucia i żalu

Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji Ludwik Dorn  
oraz Kierownictwo Ministerstwa

Łączymy się w bólu z

## Rodzinami

## Ofiar

tragedii

na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich

Zarząd i pracownicy ING Banku Śląskiego

Wyrazy głębokiego bólu i współczucia

## Rodzinom

## Ofiar

tragedii

na terenie Hali Targowej w Chorzowie

składają

władze Miasta Stołecznego Warszawy



ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.



## Wiesław Prystupa

Wczoraj, gdy uczniowie wrocławskiej SP nr 24 otworzyli drzwi szkoły, powitała ich żałobna tablica z pamiątkowymi zdjęciami emerytowanego dyrektora szkoły i fragment wiersza ks. Jana Twardowskiego: „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”. 61-letni Wiesław Prystupa przepracował w tej szkole 20 lat. Na emeryturę przeszedł dwa lata temu. Elżbieta Szerzyna, obecna dyrektorka: – Jego staraniom szkoła zawdzięcza nową salę gimnastyczną, stołówkę. Rozpropagował szkolny sport – organizował czwartki lekkoatletyczne i zawody, na które do dziś zjeżdżają się sportowcy z całej Polski. Zawsze uśmiechnięty, ulubiony nauczyciel dzieci. Kiedy na przerwie szedł korytarzem, zawsze był otoczony wianuszkami uczniów. Mówiliśmy o nim „gołębiarz” – wszyscy w okolicy wiedzieli, że jest zapalonym hodowcą.

Prezesował lokalnemu oddziałowi Polskiego Związku Hodowców Gołębi Pocztowych. Był jednym z czołowych hodowców, wielokrotnie nagradzany. Nie opuszczał żadnej wystawy.

Na dzień pogrzebu dyrekcja szkoły odwoła lekcje, by uczniowie i nauczyciele mogli pożegnać pana od WF-u.

BS



## Martin Wagner

– Zadzwoił do nas przyjaciół, który pojechał z ojcem do Katowic – mówi Isi Wagner, 33-letnia córka Martina. – Opowiedział, że tata został przygnieciony. Ratownicy wynieśli go z hali, gdy był już martwy. Dla ojca gołębie były wszystkim. Kochał je. Pracował ostatnio w dużym koncernie energetycznym. Mówił, że jak już przejdzie na emeryturę, będzie miał dużo czasu dla swoich gołębi. To było jego największe marzenie. Był taki szczęśliwy, jak wybierał się do Katowic. Nikt z nas nie przypuszczałby nawet, że to będzie jego ostatnia podróż. Teraz do Polski jedzie mój brat, by załatwić wszystkie formalności. Jest nam wszystkim bardzo ciężko... Trudno o tym mówić.

Martin Wagner od lat odwiedzał Polskę. Miał tu wielu znajomych. – Każdy z szanujących się gołębiarzy go znał – wspomina Karol Paszek z Ustronia. – Był jednym z lepszych hodowców. Sam kupiłem od niego kilka ptaków. Na targach w Katowicach był kilka razy.

Martin Wagner mieszkał w małej miejscowości koło Monachium. Miał 64 lata. Zostawił żonę i trójkę dorosłych dzieci.

AM

### Kary za nieodśnieżanie

## Decyzje rządu po katastrofie

Za tydzień ma być zmienione prawo budowlane, a za dwa tygodnie Rada Ministrów rozpatrzy projekty ustaw o ratownictwie medycznym i sytuacjach kryzysowych

Kilka godzin wcześniej minister zdrowia Zbigniew Religa w Radiu TOK FM mówił, że przedstawi natychmiast rządowi założenia ustawy o ratownictwie medycznym, tak aby Sejm jak najszybciej tę ustawę przyjął.

Rząd zdecydował jednak, aby wspólnie rozpatrzyć projekty dwóch ustaw: o ratownictwie medycznym i zarządzaniu kryzysowym, tak aby były spójne. Premier mówił, że oba projekty są „bardzo zaawansowane”.

Zapowiedział też zmianę prawa budowlanego, która będzie zapewne przyjęta na posiedzeniu rządu za tydzień. Zakłada zaostrzenie kar za nieodśnieżanie dachów budynków wielkopowierzchniowych oraz ewentualne ich zamykanie, gdyby zbyt duża ilość śniegu stwarzała zagrożenie.

Rozważane jest także rozwiązanie, aby w przypadku targów lub imprez masowych nie dopuszczać do ich otwarcia bez sprawdzenia, czy dachy budynków nie stwarzają zagrożenia.

Premier podtrzymał zapewnienie o wszelkiej pomocy dla poszkodowanych: zapomogi, pomoc w przygotowaniu pogrzebu oraz renty dla dzieci ofiar.

Marcinkiewicz dziękował wczoraj wszystkim, którzy uczestniczyli w akcji ratunkowej. W jego opinii była ona zorganizowana bardzo dobrze.

Według wstępnych ustaleń żadna z ofiar katastrofy nie zginęła z wychłodzenia w oczekiwaniu na pomoc, ale zmarła w wyniku obrażeń po zawałeniu dachu katowickiej hali.

PW

### Kraj w żałobie

Trwa ogłoszona w niedzielę trzydniowa żałoba. W kościołach odbywają się modlitwy. Wystawiono księgi kondolencyjne. Odwołano koncerty, spektakle i imprezy sportowe. Flagi państwowe przepasano kirem. Z całego świata napływają kondolencje.

Na Jasnej Górze trwają modlitwy w intencji ofiar: tragicznie zmarłych, wszystkich rannych i poszkodowanych. We wtorek w Synagodze im. Nożyków w Warszawie odbędą się modlitwy ekumeniczne z udziałem przedstawicieli różnych wyznań.

PAP

# Szybciej z ratownictwem

Rząd przyspieszy prace nad ustawami o ratownictwie medycznym i sytuacjach kryzysowych

– zapowiedział wczoraj premier Kazimierz Marcinkiewicz

Propozycje przyspieszenia prac nad obydwoma ustawami mają w przyszłym tygodniu przedstawić minister zdrowia Zbigniew Religa oraz szef MSWiA Ludwik Dom. Dotychczas strażacy działali według swojej ustawy o straży pożarnej. Lekarze mieli zaś działać według ustawy o ratownictwie medycznym, która choć uchwalona już kilka lat temu, nigdy nie weszła w życie. Kolejne ekipy rządzące tłumaczyły, że nie ma na to w budżecie pieniędzy. Za świadczenia z zakresu ratownictwa szpitalom ma bowiem płacić nie NFZ, ale Ministerstwo Zdrowia. Potrzeba na ten cel co najmniej kilkaset milionów rocznie.

– Chcemy jak najszybciej wprowadzenia tej ustawy w życie, ale wymaga ona poprawy. Lekarze krytykują jej rozwiązania jako nienowoczesne – przyznaje Zbigniew Religa. Minister chce, by nowa ustawa pozwoliła na taką organizację akcji ratowniczych, jak miało to miejsce w minioną sobotę i niedzielę w Katowicach. – Pierwsza karetka na miejscu tragedii pojawiła się już w cztery minuty po wezwaniu. Przyjechałem, żeby ocenić, jak przebiega praca pogotowia i czy czegoś nie brakuje. To, co zobaczyłem, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Pracowali świetnie – podkreślał minister. Lżej rannych opatrywano na miejscu w ocieplanych namiotach, 140 ciężiej poszkodowa-



Ratownik medyczny biegnie z noszami w kierunku zawałonej hali, 28 stycznia 2006 r.

nych natychmiast przewożono do kilku-nastu szpitali. – Akcja była tak skoordynowana, że w żadnym szpitalu nie było tłoku czy kolejek do izby przyjęć. Nigdzie nie zabrakło leków. Byłem pod wrażeniem, że bez ustawy o ratownictwie medycznym dało się tak dobrze wszystko zorganizować. Cała Polska powinna brać przykład z tego, co zrobiono na Śląsku – mówił Religa. I on, i premier zapewnia-

ją, że w hali nikt nie zginął dlatego, że pomoc medyczna nie dotarła do niego na czas.

Według naszych informacji, jeśli prace nad ustawą o ratownictwie medycznym nabiorą tempa, może ona trafić do Sejmu w marcu. Pozostanie jednak problem, skąd wziąć w budżecie pieniądze na wprowadzenie jej w życie.

JUDYTA WATOŁA

Głęboko poruszony  
katastrofą budowlaną na Śląsku  
łączę się w żałobie i modlitwie z

Rodzinami i Bliskimi

Ofiar

tragedii

Marszałek Sejmu  
Marek Jurek

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że 28 stycznia 2006 roku  
zmarł tragicznie w Hali Targowej w Chorzowie

mgr inż.  
**Tomasz Mazurkiewicz**

Prezes Zarządu i współtwórca firmy HIMA Sp. z o.o.  
oraz członek dyrekcji połączonych firm KOU DIJS PASZE Sp. z o.o.  
i HIMA Sp. z o.o. - dobry Człowiek i wspaniały fachowiec.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego

wyrazy głębokiego współczucia i solidarności w bólu  
składają

właściciele, członkowie Zarządu i kierownictwa grupy KOU DIJS-HIMA  
oraz pracownicy.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się  
w kościele św. Piotra Apostoła w Wadowicach  
dnia 2 lutego 2006 roku o godzinie 14.00.

R E K L A M A



Dziękuję wszystkim

uczestnikom akcji ratowniczej, walczącym z tragicznymi skutkami  
katastrofy na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich.

Strażacy, lekarze i sanitariusze, goprowcy i toprowcy, ratownicy górniczy,  
policjanci, pracownicy służb komunalnych, żołnierze, żandarmi oraz  
wolontariusze: daliście z siebie wszystko, by w ekstremalnie trudnych  
warunkach z determinacją i bezprzykładnym męstwem walczyć o każde  
ludzie istnienie!

Słowa wdzięczności kieruję również do dziennikarzy, za takt oraz ofiarność  
wykazaną w tych dramatycznych chwilach, a przede wszystkim do tysięcy  
mieszkańców, spontanicznie oddających swą krew poszkodowanym  
czy też udzielających wszelkiej innej pomocy.

Chociaż wiem, że żadne słowa nie zabrzmiały właściwie w obliczu tragedii,  
zapewniam, że katowiczanie do końca życia zapamiętają solidarność ludzką  
zrodzoną w tej chwili, jak i pełną heroizmu akcję ratowniczą.

Piotr Uszok, Prezydent Miasta Katowice



ZGINĘLI POD GRUZAMI KATOWICKIEJ HALI 28 STYCZNIA 2006 R.

## Kamila Bartkiewicz

– Czuję się, jakbym stracił córkę – rozpaczają trener szczyptornistek Gościbii Sułkowiec Władysław Piątkowski po śmierci 23-letniej Kamili Bartkiewicz.

Pojechała na wystawę do Katowic, choć gołębi nie hodowała. Zaprosili ją przyjaciele ze Słowacji. Mieli pecha. Weszli do hali wystawowej na kwadrans przed tragedią. Z pięciu osób ocalał jeden Słowak.

– Gdy to się stało, prowadziłem Kamę za rękę, chciałem ją wyciągnąć na zewnątrz, ale mi się nie udało – relacjonował drżącym głosem.

– Był w szoku. Niech pan sobie wyobrazi – na wystawę przywiózł pięć osób, a do słowackiego Brezna wraca pustym autem – mówi wujek Kamili Bogusław Wilk, który gdy tylko usłyszał o tragedii, pojechał w poszukiwaniu siostrzenicy. – Warowałem tam całą noc z nadzieją, że znajdą ją żywą – opowiada.



Najbardziej strąć Kamy przeżywa jej rodzeństwo – o rok starsza siostra Bożena Cyrek (była bramkarką Gościbii) i brat Michał (uczeń I klasy liceum). Rodzice Bartkiewiczów zmarli przedwcześnie przed trzema laty – w trzytygodniowym odstępie, najpierw matka, a później ojciec.

– Tak ją lubiłem – mówi trener Piątkowski. – Nieraz krzyknę na dziewczyny, ale na Kamilę nie musiałem ani razu. Była inteligentna, od razu wiedziała, co robi źle, potrafiła się skorygować. Umiała się ustawić na parkiecie, zareagować na rozwój sytuacji – miała to w genach. Wzór sportowych cnót: mądra, pracowita, roześmiana.

W ciągu półtora roku gry w ekstraklasie Kamila zdobyła ponad sto bramek, dużo jak na skrzydłową. Wiedług trenera, gdyby kontynuowała karierę, trafiłaby do reprezentacji Polski. **MICHAŁ BIAŁOŃSKI, KRAKÓW**

## Stanisław Kois

Ponad sześć godzin dziennie spędzał na boisku z zawodnikami. Żył dla pasji – piłki nożnej i gołębi. Jego gołębnik przypominał przytulne mieszkanie.

To był prawdziwy społecznik. Od 25 lat prezes i trener w klubie piłkarskim LKS Ogrodnik w Cielmicach koło Tychów. – Młodzi ludzie go kochali. Przychodzili na treningi tylko dla niego. Klub to było jego czwarte dziecko. Nie wiem, czy bez niego ma sens nasza dalsza działalność – mówi Stefan Pluta, wiceprezes klubu.

Pan Stanisław był też prezesem klubu GKS Tychy, to za jego kadencji Mariusz Czerkowski trafił do szwedzkiej drużyny. – Był surowym trenerem, dawał nam wycisk, ale przy tym był dobrym ojcem. Umiał dla nas wszystko załatwić, nawet jak były problemy w szkołach – mówi Remigiusz Golda, zawodnik. – Kiedy



jeden z jego graczy odniósł kontuzję na meczu, jak opętany rzucił się, żeby go ratować, robił sztuczne oddychanie, to było niesamowite – mówi Pluta.

Drugą jego pasją były gołębie. – Podarowałem mu kilka gołębi na 50. urodziny. Teraz stado liczy już ponad trzysta sztuk. Czuję się trochę winny, on był dla mnie jak ojciec – mówi Marcin Gladystaw, zięć Koisa.

Pluta: – W jego gołębniku ptaki miały się lepiej niż w najładniejszym domu. Podnoszone elektronicznie klapy, kolorowe ściany, najlepsze pasze i witaminy.

Pan Stanisław miał firmę budowlaną. W tym roku miał się wprowadzić do domu, który sam wybudował w Kobiórze. Miał 55 lat. Zostawił żonę, trzy córki: 34, 25 i 24 lata, oraz dwie wnuczki – Maję i Zuzię.

**MAGDALENA GÓRNA, KATOWICE**

# Czy kibice są bezpieczni?

**Po tragedii na Śląsku.** Minister Tomasz Lipiec zalecił odwołanie zawodów sportowych i lekcji wf. w całym kraju, dopóki z dachów sal nie zostanie uprzątnięty śnieg. Właściciele hal zarządzili kontrole obiektów. – Spokojnie, mecze siatkówki czy koszykówki niczym nie grożą – mówi Dariusz Parzeński, jeden z nielicznych sportowców architektów

Katowicki Spodek, najszynniejsza hala w Polsce, był odśnieżany na początku stycznia. Dwieście osób przez pięć dni zrzuciło śnieg z ogromnego dachu. Wywieziono i usunięto 400 m sześć. śniegu.

– Wylczyliśmy, że teraz na metr kwadratowy naciska jakieś czterdzieści kilka kilogramów. Norma krajowa dopuszcza blisko dwa razy więcej, a wyjątkowa norma bezpieczeństwa dla Spodka (wyznaczona przez jej projektanta) wynosi 350 kg na metr kwadratowy – mówi Fred Misera, dyrektor ds. technicznych Spodka.

Inne sportowe hale na Śląsku też są tej zimy na bieżąco odśnieżane. Najwięcej uwagi poświęca się sprzątaniu blaszanego dachu rezerwowego lodowiska Zagłębia – obiekt ma (podobnie jak chorzowski, który się zawalił) lekką konstrukcję wspartą na stalowym szkielecie. Choć teraz zalega na nim od ledwie kilku do 20 cm i zagrożenia nie ma, prace i tak są kontynuowane.

Największą halę w Częstochowie, gdzie w niedzielę siatkarze AZS mieli grać ligowy mecz (odwołany z powodu żałoby), już dawno przygotowano na wypadek obfitych opadów. – Kilka lat temu obejrzałam katastroficzny film o zawaleniu się pod śniegiem podobnej hali w Kanadzie i poleciłam zrobić specjalne wzmocnienia dachu, by wytrzymał znaczne obciążenia. Czujemy się więc bezpieczni – mówi Maria Olejniczak, dyrektorka Miejskiego Ośrodka Sportu i Rekreacji. Prezydenta Częstochowy do kontroli dachów pozostałych obiektów nakłoniła tragedia w Niemczech, gdzie kilka tygodni temu zawaliło się lodowisko.

Nie wszędzie jest tak różowo. W Łodzi po niedzielnej inspekcji okazało się, że 40-cm warstwa śniegu leży na dachu sztucznego lodowiska i największej krytej pływalni Wodny Raj. Wczoraj zrzucali go z dachu pracownicy firmy, która budowała pływalnię. Mimo to szef MOSiR-u, właściciela budynku, zapłaci 500 zł mandatu.

Okazuje się, że właśnie w Łodzi śnieg jest dużym problemem. Przekonuje o tym Jacek Kwieciński, szef biura ATJ Architekti, które zaprojektowało wielofunkcyjną, największą w Polsce halę sportową. Jej budowa rozpoczęła się kilka dni temu. – Zwracaliśmy szczególną uwagę na obciążenia dachu przez śnieg, bo w tym regionie zdarzają się największe opady śniegu w kraju – mówi architekt. – By hala wytrzymała, jej konstrukcja będzie mocniejsza, niż przewidują to normy.

**KOESPONDENCI „GAZETY”**



Poniedziałek 30 stycznia 2006 r., godz. 11. Usuwanie śniegu z dachu lodowiska w Tychach

## Buduje się albo dobrze, albo tanio

**Paweł Rzekanowski: Hala są bezpieczne?**

**Dariusz Parzeński\*:** Wbrew pozorom to bardzo skomplikowane pytanie.

**Dlaczego? Albo spełniają normy bezpieczeństwa, albo nie powinno się w nich organizować imprez masowych.**

– Tylko że niełatwo to ustalić. Po sobotniej tragedii sam się nad tym zastanawiałem. Bo to, co stało się w Katowicach, mogłoby wydarzyć się wszędzie – hale sportowe i te typowe magazynowe wcale nie różnią się tak bardzo, jak się wydaje. Niezależnie od tego, co się stawia, za-



**Dariusz Parzeński**

sady przy wymyślaniu byłyby takie same. Do pewnych norm architektonicznych trzeba się dostosować. To priorytet, najważniejsze, co należy zrobić, by zapewnić bezpieczeństwo. Projektowanie nie ogranicza się do narysowania kształtu budynku, ale wymaga także dziesiątek wyliczeń, badań, analizowania nacisku, wytrzymałości poszczególnych elementów. Konstruktorzy siedzą nad rysunkami tak długo, aż będą pewni, że to, co oddają, nie ma żadnych słabych punktów. **Ale dachu w Katowicach też nie postawiono bez pozwolenia.**

– Pewnych rzeczy, zdarzeń losowych nie można przewidzieć. Każdy architekt, a później wykonawcy budynku chcą, by był on maksymalnie bezpieczny. Ale pojawia się zima stulecia, jakieś nieprzewidywalnie obfite opady śniegu, dodatkowe obciążenia przekraczające te wcześniej zakładane, to wszystko się na siebie nakłada i... pojawia się problem.

I jeszcze jedno. Budowa obiektów – także sportowych – często nie wygląda u nas tak, jak powinna.

**Są zaniedbania?**

– Nie tylko w przypadku hal sportowych. Normy normami, a codzienność swoją drogą. Wykonawców gonią terminy, więc nie mają wystarczająco dużo czasu na dokładne sprawdzanie całości, zadbanie, by konstrukcji nie było niczego zarcuci. Poza tym nie dość, że pojawia się pośpiech, to jesz-

cze wykonawcy najchętniej stawialiby obiekty jak najmniejszym kosztem. A tak się nie da. Dobre materiały kosztują, półśrodkami nie da się niczego zrobić dobrze.

**Czyli kibic, który idzie na mecz koszykówki, siatkówki czy piłki ręcznej, powinien się bać?**

– Moim zdaniem nie. Tym bardziej że słyszę o kolejnych kontrolach, inspekcjach w najbardziej narażonych obiektach. Zapewne wszystko zostanie jeszcze raz dokładnie sprawdzone i zbadane. Szkoda tylko, że dopiero teraz. Ale tak już jest, że ludzie mobilizują dopiero tragedie.

*Rozmawiał PAWEŁ RZEKANOWSKI*

\*Dariusz Parzeński – koszykarz Stali Ostrów, ukończył Wydział Architektury Politechniki Wrocławskiej, wspólnie z ojcem i bratem prowadzi biuro projektowe